

Biuletyn  
Kulturalny  
L. 125

Cena 200 mk.  
Rok III.

Nr 45.

Warszawa, 4 listopada 1922.

# TYDZIEŃ POLSKI

TREŚĆ: *Leon Kozłowski*: O zasadę większości. — *Iza Moszczeńska*: Duchowieństwo i polityka. — *Ernest Łuniński*: Los pomnika. — *St. Mróz*: Plany czeskiego lwa a marka polska. — *Zagadnienia polityki polskiej*. — *J. Baudouin de Courtenay*: Krzywda i niesprawiedliwość. — W sprawie dymisji dyrektora Lorentowicza. — *Tadeusz Zieliński*: Pieczęć Persefony (odcinek).

## O ZASADĘ WIĘKSZOŚCI.

W tej samej chwili, kiedy u nas kraj jest zajęty ustaleniem przy pomocy wyborów woli większości, która powoła nowy rząd, we Włoszech dokonał się przewrót, gwałcący samą zasadę większości.

Przewrót ten jest jednym ze znamienych i groźnych objawów tego przesilenia, jakie obserwujemy w życiu politycznym powojennej Europy.

W państwie parlamentarnym, posiadającym demokratyczne prawo wyborcze i wszystkie swobody polityczne, zmiana rządu nastąpiła nie w drodze legalnej i przez prawo przewidzianej zgodnie z wolą większości, (votum nieufności ze strony większości posłów lub rozwiązanie parlamentu i nowe wybory), lecz w drodze zamachu, dokonanego z pogwałceniem konstytucji przez mniejszość zorganizowaną i uzbrojoną, która swoją wolę narzuciła większości nie zorganizowanej i nieuzbrojonej. Została pogwałcona zasada, na której opiera się byt państwa demokratycznego i która gwarantuje państwu temu rozwój pokojowy — zasada woli większości, znajdującej wyraz w formach przez prawo przepisanych.

Jeżeli faszyzm nie bez słuszności i we Włoszech i zagranicami Włoch nazywają „bolszewizmem nacjonalistycznym“, to właśnie dla tego że i faszyści i bolszewicy deprecją demokratyczną zasadę większości i swoją wolę narzucają gwałtem narodowi. Pierwsi robią to w imię państwa i nacjonalizmu, drudzy w imię internacjonalizmu i komunizmu, ale, mając biegunowo rozbieżne cele, stosują jedne i te same metody.

Faszyzm zrodził się z reakcji przeciw bolszewizmowi, wystąpił w obronie zagrożonej państwowości, kultury narodowej i podstaw naszego ustroju społecznego. W tych zadaniach tkwiło źródło siły moralnej ruchu faszystowskiego i sympatyj, jakimi ruch ten cieszył się w kraju. Ale czy metody, zapożyczone przez faszystów

od wrogów państwowości bolszewików, nadają się do utrwalenia państwowości? Czy nie prowadzą do anarchji i wojny domowej?

— Na gwałty komunistów—powiadają—trzeba było odpowiedzieć zastosowaniem siły. Rząd był za słaby, aby tę siłę zastosować, społeczeństwo zmuszonym było zorganizować samoobronę i było to oznaką zdrowia społeczeństwa włoskiego, iż nie zachowało się ono w 1919-20 tak biernie, jak społeczeństwo rosyjskie w r. 1917, kiedy bolszewizm korzystając ze słabizny rządu tymczasowego rozwijał się bezkarnie, aż zdobył władzę, zburzył państwo i zrujnował cały kraj. W rozumowaniu tem jest dużo słuszności i kiedy w latach 1919-20 w czasie zamachów antypaństwowych ze strony prowadzonego przez komunistów proletariatu rząd włoski okazał się nie na wysokości zadania, nie umiał zastosować siły w obronie prawa i pozwalał na rezykowne „eksperymenty“, samoobrona społeczna była zdrowym odruchem narodowym.

Ale taki „odruch“ może być uważany za zbawienny tylko w wyjątkowej sytuacji w krytycznej chwili. Organizm państwowy nie może pozwalać sobie stale na takiego rodzaju odruchy i jeżeli takie odruchy powtarzają się, to świadczą, że samo państwo już jest w stanie dezorganizacji.

Faszyści prowadząc swoją akcję po tem, jak minęła chwila krytyczna, utrzymując swoją policję i swoją armję, tworzyli państwo w państwie. a zatem rozsadzali organizm państwowy, podkopali autorytet państwa i prawa i prowadzili kraj do wojny domowej i anarchji. Z chwilą, gdy bezpośrednio niebezpieczeństwo przewrotu komunistycznego było zażegnane, obrońcy państwowości i porządku społecznego mieli przed sobą normalną drogę w granicach przez prawo ustalonych do utworzenia silnego rządu narodowego, wyrażającego wolę większości.

Przyznać rację faszystom i usprawiedliwić ich metody można było by w tym tylko razie,

jeżeli przyznać, że państwo demokratyczne zbankrutowało i nie jest w stanie bronić prawa i porządku społecznego.

Tę właśnie tezę i głoszą monarchystyczni zwolennicy metod faszystowskich.

W monarchistycznym miesięczniku francuskim „La Revue universelle“ (w zeszytach z dnia 16 września) p. Georges Valois w artykule p. t. „L'Urne brisée“ dowodzi, że zbankrutowała państwowość demokratyczna oparta na fikcjach, i że dokryna demokratyczna była największą mistyfikacją wieku naszego.

„Podstawą wszelkiej demokracji, pisze autor, — jest cnota obywatelska. Wychodząc z założenia, że wszyscy obywatele pragną w równej mierze o dobro publiczne, stawiają interes państwa ponad interes prywatny, dokryna demokratyczna poleca sprawy publiczne opiece obywateli. W niektórych krajach teoria ta pozostaje w dziedzinie abstrakcji. W wolnej Helwecji teoria jest unaczynioną w napisach w ogrodach publicznych, polecających opiece publiczności kwiaty, ławki i posągi. Napisy te przypominają obywatelowi, że powinien wobec państwa zachowywać się tak samo, jak i wobec ogrodu publicznego.

Czy słuszną jest ta dokryna? Dziś budzi ona, dużo wątpliwości. Doświadczenie stwierdza, że ogrody mogą być polecane opiece obywateli ponieważ opieka ta nie wiele wymaga cnót obywatelskich, albowiem ogrody nie stanowią wielkiej pokusy, inaczej rzecz ma się z państwem.

Państwo zgodnie z dokryną urzędową ma być wyrazem woli obywateli, którzy chcą żyć w pokoju. Doświadczenie stwierdza jednakże, że zgoda obywateli jest nie do urzeczywistnienia, albowiem w każdym państwie jest spora liczba obywateli, którzy w odmienny sposób od innych zapatrują się na formy i charakter pokojowego współżycia, i dużo jest takich, którzy bynajmniej nie mają do pokoju zamiłowania.

Doświadczenie, zdaniem francuskiego publicysty, stwierdza, że od czasu, jak zostały zastosowane zasady demokratyczne, narody żyją w stanie ciągłej agitacji, bardzo szkodliwej dla spokoju, a państwo jest ciągle narażone na niebezpieczeństwo.

Teoretycy demokracji ze zdziwieniem stwierdzają, że od czasu jak cywilizacja europejska została pod opieką cnót obywatelskich, rozmaite poglądy manifestują się nie tylko za pomocą słowa, druku i kartki wyborczej, ale także za pomocą rewolweru, karabínu, bomby, mitraljezy i nawet armaty. To wymaga już zupełnie innych cnót, od obywateli, broniących sprawy publicznej. Odwaga wobec urny wyborczej już nie wystarcza, trzeba nie czuć lęku wobec rewolweru i armaty.

Autor znowu wraca do porównania państwa z ogrodem publicznym: jeżeli mało jest łobuzów, którzy zrywają kwiaty i łamią ławki, to opieka publiczności wystarcza. Jeżeli zaś będą to całe bandy, to obywatel nie będzie za nimi uganiał się i nastawiał swoich boków. Tak też jest i w życiu politycznym. Łobuzów i ludzi złej woli okazało się znacznie więcej, aniżeli przypuszczała doktryna demokratyczna, cnoty obywatelskie okazują się nie dość silne, aby stawiać im czoło i państwo, oparte na fikcji, że obywatele są cnotliwi,

bankrutuje. Rządy demokratyczne zdradzają brak siły i stanowczości wobec ruchów antypaństwowych. Państwo i cywilizacja zagrożone. Wobec tego i powstają organizacje, jak faszystowskie, które uzbrajają się, aby wesprzeć chwiejącą się państwowość. Tak w wielkich państwach powstają ugrupowania obywateli, którzy mając mandat tylko we własnej woli, pracują nad tem, aby głowy Państwa i ich ministrowie odzyskali chęć panowania i rządzenia dla dobra publicznego. Restauracja monarchji jest logicznym wynikiem tego procesu.

Oczywiście, że wyobraźnia uniosła daleko poza rzeczywistość publicystę monarchistę. Przedewszystkiem stan anarchji i wojny domowej nie jest tak stałym zjawiskiem w Europie, jak twierdzi autor. Następnie tam gdzie obserwujemy do zjawisko, jest ono nie wynikiem ustroju demokratycznego, a następstwem wojny. I, co najważniejsze, uzbrojone grupy obywateli, którzy nie mają innego pełnomocnictwa oprócz ich własnej woli wzmocnienia państwowości, to jest organizacje faszystowskie, ryzykują w ostatecznym wyniku pogłębić stan anarchji i wojny domowej, którem chcą kres położyć. Autor zapomniał o tem, co sam mówił, że zawsze znajdzie się dość obywateli, którzy inaczej pojmują spokój publiczny.

Czerpiąc swoje prawo jedynie w swojej własnej woli, w swoim własnym przekonaniu, jedni chcą, zbawiać ludzkość przy pomocy autorytetu monarchji, inni — przy pomocy dyktatury proletariatu. Zwolennicy rewolucyjnej dyktatury proletariatu i zwolennicy kontr-rewolucyjnego autorytetu monarchji mają ten sam wspólny rys, że nie uznają demokratycznej zasady większości. Tylko mniejszość, zdaniem ich jest zdolną do twórczej roli rządzenia, większość może być tylko bierną rządzoną masą. W podstawie tego poglądu na życie społeczne leży głęboki pesymizm, pogarda dla ludzkości. Pesymizm ten widzieliśmy w powyższych rozumowaniach publicysty monarchistycznego, o zbankrutowanej wierze w „cnoty obywatelskie“. Pesymistą był również i zmarły niedawno najwybitniejszy ideolog „mniejszości rewolucyjnej“ teoretyk syndykalizmu rewolucyjnego, zwolennik sowieców i sympatyk monarchji George Sorel. George Sorel\*) przed wojną krytykując „złudzenia postępu“ witał czyn rewolucyjny proletariatu, jako czyn zbawiający ludzkość, która gnuśnieje w pokoju i w stroju demokratycznym, nie wymagającym od obywateli innego heroizmu, jak bohaterstwo tajnego głosowania.

Wojna światowa pokazała, że burżuazyjna ludzkość bynajmniej nie jest tak pacyfistyczna, jak przypuszczał Sorel, a akcja faszystowska stwierdza najdosadniej, że i w wojnie domowej czynny rewolucyjny i gwałty nie są bynajmniej przywilejem komunistów. Wątpliwym jest bardzo jednakże, aby metodami faszystowskimi można było utrwalić pokój społeczny i wzmocnić państwowość. Pokoju tego nie będzie, dopóki ludzie nie nauczą się szanować woli większości, i nie będą gwałcili jej, ani otwarcie przy pomocy zamachów i przewrótów, ani skrycie przy pomocy fałszowania wyborów i okłamywania mas.

\*) GEORGE SOREL. „Reflexions sur la violence“.

Krytycy demokracji słusznie twierdzą, że ideał demokratyczny wymaga optymistycznej wiary w „cnoty obywatelskie“. Ale czy mają rację, twierdząc, że wiara ta zbankrutowała.

Objawy rozkładu ustroju demokratycznego i wojny domowej, która w mniejszym lub większym stopniu, w stanie potencjalnym lub dynamicznym istnieje prawie na całym świecie, świadczą tylko o tem, że żyjemy jeszcze w okresie nie-likwidowanej wojny światowej.

Ludzkość przechodzi po wojnie ciężkie przesilenie ekonomiczne, polityczne i moralne. I tak samo jak w dziedzinie ekonomicznej nie ma żadnych środków cudownych, które mogłyby od razu naprawić sytuację i tylko wyteżona praca może powoli dźwignąć życie z ruiny, tak samo i w dziedzinie politycznej nie ma środków cudownych: zamachy, przewroty, rewolucje i kontrrewolucje nie naprawiają sytuacji, a tylko ją pogorsza, tylko obudzenie świadomej woli większości, tylko powołanie do życia czynnego świadomego szerokich mas społecznych może uzdrowić życie polityczne i zabezpieczyć pokój publiczny. Oczywiście, że dzieło uzdrowienia ekonomicznego i politycznego nie można podjąć bez optymistycznej wiary w pracę i wolę ludzką. Potrzeba pewnego optymizmu i ufności wobec życia i ludzkości, aby iść drogą demokracji, ale innej drogi nie ma ludzkość przed sobą.

Leon Kozłowski.

## DUCHOWIEŃSTWO I POLITYKA.

Dekret papieski, wzbraniający wyższym duchownym kandydować do sejmu i senatu, a dozwalający niższemu duchowieństwu stawiać kandydatury swoje tylko za zezwoleniem władzy duchownej — wzbudził wielką radość wśród socjalistów. W niezwykłym u „Robotnika“ ferworze religijnym nawołuje on „krnąbrnych“ i „opornych“ do uległości względem stolicy apostolskiej i — maluczko, maluczko — a gotów odegrać rolę instygatora przed trybunałem duchownym wskazując mu „kacerzy“ dla przykładowego ukarania.

Pomijając nieco zabawną stronę tego wystąpienia — (boć jasna rzecz, że papież bez pośrednictwa klubu P. P. S. informować się będzie własnymi drogami o winach i zasługach polskiego duchowieństwa) — zaznaczyć można już dzisiaj, że wedle najkompetentniejszych wyjaśnień monsignora Lauri, niema w tym papieskim dekreście nic takiego, coby mogło szczególnie dogadzać naszej skrajnej lewicy. Jasna rzecz, że chodziło tu tylko o utrzymanie pewnej hierarchji i dyscypliny kościelnej, i to, żeby kandydat proboszcz, stając na arenie wyborczej przeciw biskupowi, np. z własnej diecezji, nie zgnębił go swą popularnością, lub za ustępstwa polityczne nie wymógł na nim zbyt daleko idącej pobłażliwości w rzeczach dyscypliny kościelnej. Chodzi także o to, by proboszczowie, rzucając się w wir walk politycznych, nie szli w demagogji na wyścigi z przeciwnikami i nie mobilizowali tłumów w kierunku przeciwnym interesom Kościoła. Słowem, mając dość biedy z jednym Okoniem, Władza kościelna nie chce sobie Okoniów mnożyć. Tworzenie się partji w obrębie Kościoła mogłoby rozprzegać jedność kościelną, tak jak tworzenie partji w łonie

armji groziłoby rozprzężeniem w wojsku. Analogja jednak nie posuwa się takedaleko, by była mowa o całkowitem usunięciu duchowieństwa od ruchu politycznego; mgr. Lauri najkategoryczniej temu przeczy, a to tylko mogłoby istotnie być na rękę partjom skrajnym. W tym kierunku zrobiono we Włoszech bardzo świeżo doświadczenia ciekawe i pouczające, które bynajmniej jednak nie zachęcają Kościoła do rozciągnięcia eksperymentu na inne kraje katolickie. Od chwili zajęcia Rzymu przez wojska królewskie i uczynienia go świecką stolicą Włoch, duchowieństwo katolickie stosowało absolutną abstynencję polityczną, ani czynnie, ani biernie nie uczestniczyło w wyborach. To dało żywiołom antyklerykalnym i lewicowym taką przewagę w parlamencie i w rządzie, jaka bynajmniej nie odpowiadała ustosunkowaniu prądów wśród ogółu. Stąd wynikło, że znaczna część społeczeństwa, pozbawiona jawnych i legalnych dróg oddziaływania na losy kraju, nie ponosząca za nie odpowiedzialności, stawała w biernej opozycji do własnego państwa i jego władzy, że zaś mimo to wpływ posiadała duży — osłabiała jego stanowisko. Wojna zmieniła ten stan rzeczy; w obronie kraju uczestniczyli wszyscy, a powrotna fala uczuć narodowych wezbrała tak wysoko, że zmiotła i rozniosła te formacje polityczne, które dotąd niepodzielnie ster spraw publicznych dzierżyły.

Dażeniem demokracji jest, by ciało ustawodawcze było wiernem odbiciem stosunku sił w społeczeństwie, a kierunek polityczny odpowiadał jaknajściślej świadomej woli narodu. Powszechne głosowanie ma to właśnie na celu, a proporcjonalność wyborów ma zapobiegać majoryzacji mniejszości przez większość.

Dowodziłoby to zupełnej nieznajomości stosunków panujących w kraju, ignorancji niedopuszczalnej u polityków godnych tego nazwiska, gdyby ci, co naszą ordynację wyborczą uchwalali, liczyli, że na jej podstawie można będzie wpływ duchowieństwa z areny politycznej usunąć. Przy największej skrzętności i zabiegliwości agitatorów lewicowych nie zdołają oni w tym stopniu opanować serc i sumień, jak księża. Po pierwsze dlatego, że wiecie są w każdym razie rzadsze, niż nabożeństwa, że na nie chodzi ten, kto chce, do kościoła zaś chodzą wszyscy i bez niego się obejść nie mogą, powtóre, że doraźna, przygodna agitacja — choćby najwymowniejsza — nie może iść w zawody ze stałym, odwiecznym uświęconym i utrwalonym wpływem, — takim zwłaszcza, który do niedawnego czasu był jedynym. Kto nie umie czytać, ani pisać, kto do żadnej nie uczęszczał szkoły, ten tylko w kościele otrzymywał wskazówki postępowania stamtąd czerpał wyobrażenia o złem i dobrem, o celach i obowiązkach życia.

Czy księża kandydują, czy nie, czy występują publicznie na wiecach, czy zamykają się w obrębie swych parafji, zawsze ich wpływ da się odczuć, zawsze oni przy wyborach — prócz własnego głosu — będą rozporządzali głosami tych, których dusze w rękę trzymają.

Różnica na tem polega, że wystąpienia publiczne podlegają publicznej kontroli i krytyce, a za akcję poufną, do której księżom nikt drogi nie zamknie, najmniej zaś ci, co ich działalność chcą zamknąć w obrębie kościoła i parafji, tylko przed Bogiem i sumieniem swoim oni odpowiadają.

Stanowiłaby ona jeden z tych czynników nieblichalnych, które rozumna polityka stara się jaknajusilniej redukować do minimum.

Można różne mniej lub więcej słuszne argumenty wytaczać przeciwko mieszanii się księży do polityki; wytaczało je też od niepamiętnych czasów, przy różnych okazjach i z najrozmaitszej strony. Jedno należy wszakże stwierdzić z historycznymi dokumentami w ręku: wszystkie one były zawsze bezskuteczne, nie przekonywały nawet tych, co się nimi posługiwali. Odmawiając księżom prawa do prowadzenia jednej polityki, wciągano ich równocześnie do innej — a wszystko działo się pod hasłem apolityczności Kościoła. Najciekawszym przykładem apolitycznej pozornie a jednak wszechwładnej w polityce roli jest działalność Jezuitów. Oficjalnie nie piastowali nigdy żadnych urzędów, nawet kościelnych, nie mówiąc już o świeckich; zamykali się wyłącznie w kręgu swoich duchownych zadań i czynności: nabożeństwa, kazania, spowiedzie, kształcenie młodzieży. Na dworach przebywali tylko w charakterze kapelanów. Słowem, oprócz pieczy nad duszami nie trudnili się niczem innym. To im jednak całkowicie starczyło, by ująć w swoje ręce ster spraw krajowych i całą dyplomację. Pośrednio, drogami tylko sobie wiadomymi, — osiągnęli taką władzę polityczną, której się żadna inna nie zdołała przeciwstawić. Tumulty uliczne, uchwały sejmowe, dekrety monarsze bywały biernym narzędziem, którem kierowała niewidzialna ręka dla konsekwentnego przeprowadzania głęboko zakonspirowanych planów.

Odpowiedzialność za błędy i winy tej polityki spadała zawsze na jej narzędzie, nigdy na istotnych sprawców, — aż w końcu zerwała się nad ich głowami burza. Wyrośli im przeciwnicy potężni w obrębie Kościoła samego — a nietylko w świeckim społeczeństwie.

W polskich tradycjach politycznych nie leżała bynajmniej abstynencja polityczna kleru. Nietylko jako wiryliści w senacie, lecz nieraz jako kanclerze państwa powoływani byli duchowni do kierownictwa sprawami publicznymi, stąd do ponoszenia jawnej odpowiedzialności za losy państwa, do solidaryzowania się z jego interesami. Wywiązywali się z tej roli źle lub dobrze. Między zasłużonymi dla kraju mężami stanu zapisała historja tyleż nazwisk duchownych, co świeckich. Komisja edukacyjna miała na czele prymasa, a do jej najczynniejszych pracowników należeli księża. Konstytucja 3-go maja była w lwiej części dziełem księdza podkanclerzego Kołłątaja. Księdzu Staszycowi zawdzięcza Polska posiew idei demokratycznych.

Ci wszyscy — byli to księża politykujący, w całym znaczeniu tego słowa, księża, którzy — w przeciwieństwie do Jezuitów — bynajmniej nie mieli ochoty ograniczać się do obowiązków swego duchownego powołania. Przeciwnie, byli raczej skłonni zaniedbywać te ostatnie, niż sprawy publiczne. Weźmy inne przykłady, z czasów niewoli:

W okresie poprzedzającym powstanie 63 roku księża brali żywy udział w ruchu politycznym. Na ich współpracy opierała się szeroko rozgałęziona organizacja spiskowa; przez Kościół i obrządku kościelne dokonywała się najżywsza propaganda narodowa. Demonstracje polityczne piętnowano ze strony wrogiej ruchowi jako wprowadzanie polityki do kościoła. Wynikiem ich ostatecznym

było sprofanowanie kilku kościołów warszawskich i zamknięcie wszystkich. Nikomu z patryjotów ani potem, ani wówczas nie przyszło na myśl zrzucać winę tej profanacji na księży, nie zaś na tych, co zbrojnie do świątyń wtargnęli. Jednakże po ponownem otwarciu kościołów zasada niedopuszczania do nich „polityki“, czyli pieśni narodowych i obchodów rocznic, została powszechnie przyjęta i konsekwentnie aż do wybuchu wojny utrzymana. W każdą galówkę natomiast odprawiano modły za cara, nie z własnej woli lecz z twardej konieczności; lud nie znał nawet melodji „Boże coś Polskę“; apolityczność przeszła z pasterzy na owieczki... To była także polityka, polityka oportunistyczna, — a i ona wpływ na opinie wywierała.

Drugi przykład mieliśmy w zaborze pruskim. Równocześnie z powszechnem głosowaniem do parlamentu niemieckiego nastąpił tam okres walki rządu niemieckiego przeciw Kościołowi katolickiemu, pamiętny „Kulturkampf“ Bismarcka. To dało hasło duchowieństwu do żywej akcji politycznej. Księża zwoływali wiece, przemawiali na nich, stawali na czele stowarzyszeń narodowych, w sejmie i parlamencie wygłaszali mowy, w których katolicyzm i patryjotyzm splatały się w nierozdzielną całość. Z owego czasu datuje się uderzająca przeważność duchowieństwa w całym życiu publicznem Wielkopolski. Istotnie przecież trudno było wtedy wmówić księżom, że polityką nie powinni się zajmować, że powinni ją oddać ludziom świeckim a sami zamknąć się w kościele, gdy w wyniku pruskiej polityki kościoły bywały dla nich zamknięte i musieli odprawiać swoje nabożeństwa pokryjomo, pod osłoną dyskrecji chat i dworów, które im dawały schronienie. Łatwo zrozumieć, że wtedy tam utarło się mniemanie, iż księża są przyrodzonymi przywódcami politycznymi ludu. Później stosunki się zmieniły. Opustoszałe parafje i djecezje zostały obsadzone za zgodnym porozumieniem Rzymu z Berlinem, główny mówca polskiej opozycji parlamentarnej, ks. Stablewski, został arcybiskupem i objął dawną prymasowską stolicę, nie bez świadomości, że znów — jako w czasie bezkrólewia polskiego — piastuje władzę sięgając poza mury kościelne. — Duchowieństwo nie wycofało się z życia publicznego, lecz wzgląd na nienaradzanie stanowiska prymasa narzucił mu politykę oportunistyczną. — Ileż to razy wówczas, zwłaszcza w czasie wizytacji arcybiskupów, werni słyszeli kazania na temat. „Wszelka władza pochodzi od Boga“. Możliwe wiele, bardzo wiele przytoczyć z owego okresu przykładów, jak silnie zaważył wpływ księży na powstaniu i ugruntoowaniu się polityki ugodowej w pruskim zaborze.

Te wszystkie przykłady wskazują, że czynny udział księży w życiu publicznym bywa pożyteczny lub szkodliwy, ustawiony lub potępiany, podnosi lub obniża powagę i wpływ Kościoła w narodzie — zawsze zależnie od tego, jaka to jest polityka i jakimi metodami się posługuje.

Niema też w Polsce stronnictwa, które w pewnych momentach nie nawoływałyby księży do politycznych wystąpień. Nie stanowią bynajmniej wyjątku socjaliści. I oni np. towarzysząc Legjom wzywali księży do odprawiania mszy w zamienionych na cerkwie kościołach na Podlasiu i Chełmszczyźnie, urządzali obchody patryjotyczne o religijnym charakterze, a mówiąc to, nie myśląc bynajmniej ganić przywódców tej partji, którzy

umieli się zdobyć na przekroczenie ciasnych ram swej klasowej polityki.

Obecnie również na wschodnich kresach nie tylko ósemka prowadzi propagandę wśród duchowieństwa. Krążą tam pono odezwy do księży, wzywające ich, by w imię „Boga i Ojczyzny“ propagowali listę, na której figuruje Walery Sławek i Medard Downarowicz, jeden partyjnik czystej wody, drugi znany sympatyk P. P. S.

Inna rzecz, czy istnieje w wielu bardzo wypadkach, w szczególności w czasie obecnych wyborów, powaga Kościoła nie doznaje uszczerbku wskutek czynnego udziału księży w kampanji wyborczej.

Winna tu jednak nie polityka lecz raczej metody polityczne stosowane przez różne partje te, które księży zwalczają, i te, które ich wpływem się posługują.

Oczywiście nie podnosi to bynajmniej powagi Kościoła, gdy dla celów świeckich używa się środków kościelnych. Ani powoływanie do przysięgi zobowiązującej głosować na daną listę, ani drukowanie błogosławieństwa papieskiego na proklamacjach wyborczych, ani odmawianie posług kościelnych przeciwnikom politycznym nie może wyjść na dobro religji i Kościoła. Nie można też zaprzeczyć, że organizowanie bojówek partyjnych nie wzmacnia powagi moralnej tych, co się niemi posługują, — bez względu na to, czy to są świeccy, czy duchowni przywódcy partji. Ścisłe biorąc, wszelki terror, czy moralny, czy fizyczny, jest grzechem przeciw zasadniczemu podstawowi porządku prawnego w państwie, jest bezprawiem, które winno być sądownie karane, gdyż podkopuje fundamenty, na których Rzeczypospolita Polska stoi. Zaprzysięganie wyborców czy posłów jest gwałceniem sumienia obywatelskiego, którego zupełną niezawisłość gwarantować ma Konstytucja i ku

czemu służy między innymi prawo nietykalności poselskiej.

Wszystko to, tak samo jak wzajemne szkalowanie się partji, intrygi, podstępny oszczerstwa — nie jest bynajmniej nieodłączną właściwością polityki, lecz jej ciężką chorobą, a wciąganie duchowieństwa do tak brudnej kuchni politycznej niewątpliwie plami suknię duchowną, ale plami również honor obywatelski świeckich uczestników tego rodzaju kampanji.

Trudno jednak przywtarzać tym, którzy niezależnie od tonu i treści wystąpień publicznych księży, nawołują, by się od nich wstrzymywali, aby nie narażać się na zniewagi i obelgi ze strony przeciwników na wiecach.

Najpiękniejsze tradycje chrześcijaństwa nakazują raczej nie lękać się zniewag i głosić prawdę bez względu na gniew jakiegokolwiek potęgi światowej, czy jest nią groźny władca, czy wzbudzony tłum. Uczą one także, że wszelka krzywda plami krzywdzącego lecz nigdy pokrzywdzonego.

Może te wszystkie zastrzeżenia czytać należy w krótkiej, uwadze monsignora Lauri, gdy mówił, że duchowni biorący udział czynny w życiu politycznym nigdy nie powinni zapominać, „że są duchownymi“.

Przedewszystkiem więc winni stać zawsze na gruncie etyki chrześcijańskiej, strzedz przykazania religijnych, zarówno „Nie mów przeciw bliźniemu twemu fałszywego świadectwa“, „Nie miej Bogów cudzych przedemną“, jak: „Wszystko, co chcecie, by wam ludzie czynili i wy im czyńcie; czego nie chcecie, by wam ludzie czynili, i wy nie czyńcie“.

Jedną z najpilniejszych potrzeb naszego życia politycznego jest podniesienie jego etycznego poziomu, oczyszczenie atmosfery moralnej przesyconej wyziewami zawiści, fałszu, jadem intrygi i pod-

## PIECZĘĆ PERSEFONY.

KLECHDA ATTYCKA.

### II.

Misterja djonizyjskie, które powstały o jedno pokolenie wcześniej na sąsiedniej górze Pangeju, zdążyły do tego czasu zapuścić głębokie korzenie wśród całego ludu trackiego, szczególnie zaś wśród ludności nawpół greckiego, a nawpół trackiego miasta Dziewięciu Dróg. Świętowano je co tryeterydę, t. j. co drugi rok, ponieważ zaś wkrótce po opisanem zajściu przypadała trjeteryda, więc i Fillida ze swą przyjaciółką Ijantą, młodą kapłanką, wzięła w niej czynny udział. Lecz nie znalazła w tem ulgi, przeciwnie, nastrój jej, i przedtem niewesoły, stał się tak ponury, że matka jej, owdowiała królowa, poczęła się niepokoić o jej życie.

Razu pewnego, gdy pogrążona w smutnej zadumie siedziała przy kołyszce swego śpiącego dziecka, ozwało się pukanie do drzwi; na jej zaproszenie wszedł mężczyzna, młody jeszcze i piękny. Zdziwienie jej minęło szybko: poznała Aglaodora, natchnionego proroka Dionyzosa, gorliwego rozpowszechniciela jego kultu.

— Nie chcę cię w błąd wprowadzać, królowo, — rozpoczął: twa królewska matka prosiła mnie, abym się zatroszczył o ciebie. Pomyśl i powiedz: czy możesz mi zaufać i przyjąć mą radę? Copraw-

da, z wieku mego nadają się raczej na twego brata; lecz Dionyzos zsyła mi natchnienie, a Orfeusz mnie oświecił.

Fillida długo i badawczo popatrzyła mu w oczy; znalazła coś ciepłego i uspakajającego w ich głębokim blasku wewnętrznym, i odrzekła cicho:

— Zgadzam się.

Przysiadł się do niej.

— A więc opowiedz mi szczerze, nie ukrywaj niczego, wszystko, co się tyczy jejc — wskazał dziecko — urodzenia.

Zarumieniła się Fillida. Lecz szybko opanowała swój wstyd i jąła opowiadać.

— Było to wiosną roku ubiegłego. Na pierwszym okręcie z Hellady przybył do nas Pandion, syn obywatela Megary-Kekropsa i atenci Metiony: zamiarem jego było pozdrowić te miejsca, gdzie upłynęło cudowne dzieciństwo jego ojca, a przytem pomówić z mym ojcem w imieniu króla Pilasa o możliwości wspólne go wydobywania złotych skarbow z Pangeju. My — tracy nie umiemy z nich korzystać, lecz oni — hellenowie dużo umieją. Podobała się ta myśl ojcemu memu, i gościnnie przyjął go w swym pałacu. Tam go ujrzałam... i pokochałam. Często chodziłam wówczas do pewnego lesistego wąwozu Pangeju, gdzie mieliśmy umówione miejsce spotkania. Tak upłynęła wiosna, najszcześniejsza wiosna mego życia.

— Z końcem wiosny odjechał i on, i trzeba

stępów. Obudzenie sumień — uciśnienie żądz — jest głośnym nakazem chwili, — jest jedyną dla narodu i państwa dźwignią rozwoju i pomyślności politycznej, kulturalnej, nawet ekonomicznej.

Gdyby księża zawsze pamiętali, „że są duchownymi“, ich rola w tej zbawczej reformie mogłaby być bardzo wydatną i bardzo błogosławioną. Nie jako partja klerykalna, lecz jako czynnik duchowego wpływu zdobyliby powagę, którą wielce poniża wszelkie partyjne zacietrzewienie.

I. Moszczeńska.

## LOS POMNIKA.

Losy pomnika księcia Józefa Poniatowskiego przypominają potrosze wędrowkę pośmiertną zwłok Jana III. Jak trumna z prochami postaci wspaniałej wleczoną była z Wilanowa na Zamek, stąd do górnego oratorjum kościoła Kapucynów przy Miodowej, z oratorjum do chóru, i po 37 latach znalazła się w kościele św Florjana w Krakowie aż wreszcie dano jej schronienie wieczne w podziemiach na Wawelu, ale i tu z miejsca na miejsce przesuwało, tak statua konna Thorvaldsena, oznaka widoma wdzięczności narodowej, zrodzona w Rzymie, wychuchana przez mistrza duńskiego, dostała się ongi do Polski przez Livorno, Helsingör, Gdańsk, rozebrana na kawałki, wraz z rzeźbami Jakóba Tatkiewicza, zamówieniami generałowej Wąsowicz, nawet z sprowadzonymi do stolicy mumjami egipskimi! W Warszawie, w bronzie odlana, miała już ozdobić plac przed pałacem namiestnikowskim, gdy łuna rewolucji listopadowej zaświeciła nad niebem polskiem i przecięła możność wykonania zamierzenia. Po ugaszeniu ostatnich zarzewi „buntu“ przystąpiono w cichości do zakończenia odlewu i również w cichości skryto go w szopie w kamienicy Elerta, później własności hr. Ostrowskiego, przy ul. Długiej. Tu oglądała

go komisja 7-go stycznia 1836 r., złożona z pp. W. Duglasy Evansa, opiekuna nieletnich dzieci zmarłego odlewacza Grégoire'a, budowniczego Czarki'ego, sekretarza nieistniejącego więcej komitetu pomnikowego, pułkownika Dominika Paszkowskiego i Mitkiewicza, radcy dworu, urzędnika do szczególnych poruczeń przy dyrektorze Komisji spraw wewnętrznych Gołwinie, prototypie oblaśkawionych Polaków na chlebie rosyjskim... Po oględzinach bacznych rozebrano konnego rycerza, części składowe umieszczono w pakach i spławiono to wszystko do Modlina. W podziemnych kazamatach fortecy, otoczony czujną troską generał-leutenta Dena, spoczywał polski Bayard w bronzie przez cztery lata. W 1840 r. wyprosił go sobie Paskiewicz Erywański u Mikołaja I-go, który już po swoim kazal pracę Thorvaldsena „razbit“ i zapisał w łom!..“

Dzięki przesładowcy i katowi Królestwa Polskiego uszedł pomnik cało — i ma stanąć na marmurach piedestału z pod usuniętego monumentu księcia warszawskiego...

Istny kalejdoskop dziejowy, istny wymiar sprawiedliwości na darniach grobowych dwóch historycznych ludzi, dwóch dusz kapitalnie odmiennych, wolności i ciemństwa. A skoro już sprowadzono z wygnania przymusowego z majorkatu niegdyś feldmarszałka, później Bałaszewych w Homlu, utwór plastyczny bądź co bądź niecodzienny i nie fasonowany na miarę krawiecką, zdawało się — że nastąpi kres otaczających go losów zawistnych — że rychło stanie się symbolem uzewnętrznionym świtu odrodzenia, jak poniekąd uosabiał w sklepieniach modlińskich mękę zbługanego krwią i pokonanego powstania listopadowego. Gdzie tam!

Zgotowano mu przyjęcie nieosobliwe, powiedzmy szczerze, zawstydzające. Postać księcia Józefa w bronzie skazaną była na leżenie miesiącami na

było wtajemniczyć rodziców w to co się stało. Mama życzliwie wejrzała na moją miłość, acz smutno jej było, że nie wyprawi mi wesela z którymś z królewiczów trackich; ojciec, chcąc na kimś wyrzucić gniew, kazał stracić do boratronu pewną dziewczynę miejscową, którą podejrzewał, że służyła Pandionowi czarami miłosnymi przeciwko mnie. Było to zresztą niestuszne. Prawda, że często krażyła koła Pandiona, lecz raczej dla siebie, choć, zdaje się, bez powodzenia.

— Zdaje się?

— Czy ja wiem! Zobaczysz. Dla mnie w każdym razie nie trzeba mu było jej czarów: posiadał dosyć własnych. Wkrótce potem umarł mój ojciec, do ostatniego dnia zachowując mi swą miłość! Teżże zimny urodziła się ona; dałam jej imię takie, jakie mi dać kazał, na pamiątkę tej szczęśliwej pory naszego życia „córy wiosny“ — Eryny.

Aglaodor niecierpliwie odsunął stołek.

— Wyjaśnij mi jedno, królewno. Więc on cię oszukał i porzucił, a ty zachowałeś dlań wdzięczną pamięć i nazwałaś swą córkę według jego, jak mówisz, polecenia.

— Jakżeż inaczej? Przecież to jego dziecko, które ja mu urodziłam. Oszustwa tu wcale nie było: wiedziałam, że prawa hellenkie nie uznają małżeństwa między hellenem a córką barbarzyńców, wiedziałam, że jest zięciem króla Magory i nigdy zazdrosna o żonę jego nie byłam. A nawet nie wiadomo, kto więcej z nas pragnął dziec-

ka, czy on, czy ja; żegnając go, byłam szczęśliwa że nie całego go tracę. Jednego mi tylko żal było na razie: marzyłam więcej o synie wiosny. Lecz i to już minęło.

Miłośnie spojrzała na dziecko, Aglaodor zaś z niezadowolaniem potrząsnął głową.

— Na wiosnę znowu przyjechał Pandion, który nie wiedział nic o śmierci mego ojca; wobec zmienionych okoliczności zmuszony był wraz z giermkim zatrzymać się u pewnej obywatelki tutejszej, ucziwej wdowy, Surakty. Pobyt jego nie trwał długo: matka moja, przyjawszy go uprzejmie, odpowiedziała mu, że, jako kobieta, ma zamiar rządzić swym ludem podług wskazań przodków, lecz wydobywanie złotych skarbów z Pangeju należy odłożyć do czasu, gdy na tronie Dziecięciu Dróg zasiądzie mężczyzna. Pandion mógł być już trzeciego dnia odjechać, lecz zdarzyło się tymczasem coś... bardzo dziwnego.

Głos Fillidy zaczął drzeć.

— Surakta miała młodą córkę, — która natychmiast po przybyciu Pandiona zakochała się do szaleństwa w jego giermku. Nie doznając odeń wzajemności — dla przyczyny bardzo zasadnej, jak się dowiesz — zwróciła się o pomoc do pewnej doświadczonej czarownicy, matki tej dziewczyny, którą mój ojciec kazał stracić do baratromu i ta dała jej środek tak silny, że giermek obłożnie zaniemógł. Sprawa się ujawniła; matka moja według praw tutejszych surowo ukarała

kobyłce drewnianej twarzą do ziemi, jakby miała być egzercyzmowaną za posłannictwo szlachetnego życia. Deszcz siekł plecy brązowego bohatera, ciekawscy stukali, pukali, omal nie próbowali spełnić przysłowia: *nomina stultorum ubique locorum*. Obok, samopas, na dziedzińcu zamkowym stał koń-arab brązowy, czekał i czeka, aż go jeździec dosiędzie. Polakowi wrażliwшему, czulszemu, kochającemu sztukę i czczącemu symbole przeszłości jasnej, musiały się nasuwać wątpliwości, czy należało pokotem umieszczać pamiątkę narodową, bez nakrycia, bez ochrony odpowiedniej, choćby ramy tymczasowego schronienia były szacowne, były majestatem rezydencji monarchów polskich. Ale na dziedzińcu tak rzucona niby sąg drzewa, nibyl!... Jakież wrażenie musiało odnosić gość duński, n. p. wycieczka z nad Oeresundu (a istotnie przyjechała) na widok podobnego przechowania tymczasowego pracy wielkiego rzeźbiarza-rodaka? Chyba zadumali się jej uczestnicy nad faktem, że w muzeum Thorvaldsena w Kopenhagdzie postarano się o umieszczenie między *al fresco* scenami z życia mistrza na murach zewnętrznych malowidła, wyobrażającego przewiezienie modelu pomnika Poniatowskiego do portu, aby popłynął dalej na miejsce przeznaczenia. A tu, spoczął na kobyłkach...

Ale to są tylko wrażenia...

Gorsza natomiast rzeczywistość.

Po wyszukaniu miejsca (powiedzmy szczęśliwego) zabrano się w mało entuzjastyczny sposób do dzieła, ogłoszono szablonową odezwę i zaapelowano do ofiarności społeczeństwa, bez należytej agitacji, objaśnień i wciągnięcia ogółu, od którego domagano się pieniędzy, w obręb i treść potrzeb. Nikt nie wytlómaczył powszechności, — że środki są konieczne dla sprawienia piedestału kosztownego, że trzebaby może ten piedestał odtworzyć według projektu ówczesnego, którego ry-

sunek istnieje, że to chłonie miliony i to bynajmniej nie skromne... Sama odezwa, nawet najudatniejsza, nie jest w stanie osiągnąć skutku doraźnego, przypomina gabinetowe próby, nie stanowi jeszcze nerwu życia, nie wnika w masę. A masy te są zmęczone ciągnięciem nawoływaniem, składkami, ciągnięciem kołataniami. Zresztą, czyż masy?... Zawsze echo osiedli się w sercach garści inteligencji, w garści patriotycznej, gotowej rozdrobić i kęs ostatni... Pewna sztywność organizacji komitetowej sprawiła, — że mimo niewątpliwie intencji najlepszych nie umiano rozniecić szerszego zainteresowania wogóle i ograniczono się do sposobów zbiórki mało skutecznych.

Znacznie niepomysłniejszym jest wszakże fakt, że przystąpiono do prac przygotowawczych nad ustawieniem statuy zanim zgromadzono co najmniej  $\frac{3}{4}$  celem pokrycia kosztorysu, obliczonego w lipcu b. r. na 45,000,000 marek. Dziś oczywiście wobec gwałtownego spadku waluty okazały się te cyfry domkiem z kart. Im zaś bardziej przedłużył się stan wyczekiwania, tem silniej zmienił się stosunek i ciągle trzeba będzie pomnażać pozycje preliminarza. Przystępując zaledwie zułamkiem niezbędnych sum (osiemnaście milionów) do realizacji zamierzenia wierzono widocznie w zbiorową ofiarność, chciano nacisk wywrzeć na społeczeństwo i właśnie ten *modus procedendi* nie dopisał. Raczej naprzód należało mieć środki a potem wznieść budowę, nie odwrotnie. Archiwalja pouczyłyby także, że nie sam naród winien ponieść grosz dla spłacenia długu wdzięczności względem jednego z najlepszych swoich synów, ale i w równej a może i w większej mierze inne czynniki, przede wszystkim rząd. Mówi się: rząd niema pieniędzy... Tak, ale są pewne tytny prawne nieprzedawnione o tyle, — że państwowość nasza odziedziczyła po zaborach majątki skarbowe, pokonfiskowane niegdyś w drodze represji — zemsty, mająt-

czarownicę, lecz dopiero po dziesięciu dniach giermkowi polepszyło się na tyle, że mogli odjechać. A po ich odjeździe wydało się coś jeszcze.

Porwała się z miejsca i szybko zaczęła chodzić po komnacie. Aglaodor nie spuszczał z niej oczu, pełnych współczucia i niepokoju. Wkońcu wybuchła złowrogim śmiechem:

— Giermek okazał się giermkinią.

Aglaodor z kolei zerwał się z miejsca.

— Tak! ciągnęła Fillida. — Wiedziała o tem tylko Surakta, która pielegnowała chorą; będąc w przyjaźni z moją piastunką, opowiedziała jej o tem oszustwie, a ta powiedziała mnie. Wtenczas, już sama nie wiem, co się zemną stało; tak, jakbym swą wolę straciła, jakiś Alastor towarzyszył mi wszędzie, rozkazując mi, co mam czynić. Surakta nauczyła mnie odpowiednich czarów, ale pisanekę ułożyłam sama, lub raczej ułożył ją Alastor, a ja napisałam tylko. A oto, co napisałam...

Powtórzyła Aglaodorowi treść pisanki; przy ostatnim zakleciu wdrygnął się.

— I on ten Alastor nakazał mi ją odnieść do świątyni Persefony, co jest w baratronie i z powrotem mnie przywiódł; nie miałam woli własnej. Nawet już o woli własnej nie marzyłam, lecz zaprugnęłam zmienić pana, zamienić Alastora na Dionyzosa. Przyjaciółka moja, kapłanka, poparła mój zamiar; razem posłaliśmy na Pangej na obchód świętej tieterydy. I oto nastąpił dzień cudów. Z tyrsami i w nebrydach my dwie popędzi-

łyśmy tutaj; wszyscy ze złością nam ustępowali, witając potężne bachantki, służebnice Dionyzosa. Przybiegłyśmy do mej komnaty. Janta, tak zwano przyjaciółkę, chwyciła Erynę, posadziła ją sobie na ramię i z powrotem w góry, w góry! I dziewczynka trzymała się mocno, z zachwytem chwyciła wiatr maleńkiem swem ciałkiem i śmiejąc się klaskała w dłonie. Dobięliśmy do pustej chatki pastuszej; nikt za nami nie pogonił prócz stada przeróżnych ptaków; nawet razem z nami wleciały do izby. Janta złożyła dziecko na podłodze i zaczęła się gorąco modlić, nachylając się nad niem, przyczem słowik swą pieśnią wtórował modlitwie. Było to niewypowiedziane cudne; zdawało się, że takiej modlitwie nikt nie mógłby się oprzeć. I rzeczywiście, izbę zalało nagle różowe światło, otworzyły się drzwi i weszła niewiasta nadludzkiego wzrostu, cała w różach; podszedłszy do mej dziewczynki, podniosła ją i pocałowała. I dziewczynka w odpowiedzi uśmiechnęła się tym cudnym uśmiechem, który i teraz widzisz na senny jej ustach. Spojrzała i na nas okiem łaskawem:

— „Ciesz się, Fillido“ wykrzyknęła Janta, a potem znów poczęła się modlić! Afrodyta znikła, unosząc z sobą odbłask różowy. Janta wciąż modliła się, słowik rozełkał się jeszcze silniej, zachwytył potęgował się z każdą chwilą. I nagle napełniła izbę zorza złota, drzwi rozwarły się powtórnie, weszła Pallada, podniosła dziewczeczkę

ki, na których ciążyły hypoteki — komitetu pomnikowego... Wreszcie została kwota składkowa z funduszu pomnikowego, na której rękę położyła despotcja Paskiewicza. Wszystko to wymaga uzasadnień bliższych. Zanim wszakże krótki wywód historyczny przypomni szczegóły, musi lepsza część narodu nie czekając na pomoc zgóry, pośpieszyć z darami, aby na śmieszność nie narazić poczucia i nie pozwolić usposobieniom nieprzychylnym krytykować naszej ospałości i myśli nie trwającej godziny... Uwagi powyższe skreślono nie w celu zniechęcenia tylko zachęcenia, w celu wyszukania dróg i ścieżyn, wiodących do końca prędkiego. Nie stanął pomnik w rocznicę śmierci „Księcia Pepi“, niech stanie w kwietniową rocznicę Raszyna, w rocznicę chwały orężnej, życia, nadziei.

Ernest Łuniński.

## PLANY CZESKIEGO LWA a MARKA POLSKA.

Fatalne położenie naszej marki, i naszych finansów państwowych wogóle, każe nam — między innymi — przyglądać się także gospodarce finansowej państw, które w podobnym położeniu znajdują lub znajdowały się i obserwować sposoby, jakimi walczą one z podobnymi do dręczących nas trudnościami. Pomiedzy temi państwami przykład może najbardziej uwagi godny dają Czechy.

Państwo nowopowstałe w teraźniejszości, — jak my; państwo „sukcesyjne“ w stosunku do b. Austro-Węgier — jak my częściowo; państwo, które zaczęło od waluty, niżej nawet stojącej, niż nasza. Analogji takich pomiędzy nami a Czechami możnaby przytoczyć jeszcze kilka, mniejszej zresztą wagi, jak np. paroletnia

z początku konieczność sprowadzania żywności z Ameryki.

Są także i różnice — jak ta przedewszystkiem, że Czechy, oddziedziczywszy po Austrii 85% jej przemysłu, już w trzecim roku mieli możliwość rozwinięcia takiego eksportu, że ten dał im dodatni bilans handlowy. Druga różnica, na niekorzyść gospodarczą Czech, jest ta, że Czechy, jako kraj tak przeważnie przemysłowy, wyżywić się same nie mogą i stale muszą „dożywiać się“ importem z zagranicy.

Pomińmy jednak narazie te podobieństwa i te różnice, a rozpatrzmy sensacyjną poprostu paralelę, jaką daje porównanie waluty naszej a czeskiej. Podczas gdy marka polska, zaczawszy od  $\frac{1}{4}$  franka szwajcarskiego (równia z marką niem.) stale szła na dół i teraz osiągnęła  $\frac{1}{11900}$  franka i  $\frac{1}{110000}$  dolara, korona czeska przeszła niemal tę samą drogę, ale — do góry: obecnie sięga ona prawie  $\frac{1}{5}$  franka szwajcarskiego, bo kurs jej w Zurychu wynosi przeszło 18 centymów, a stosunek jej do marki polskiej wyraża się prawie jak 400 do 1.

Pomijając przykrą i niekorzystną stronę tego obrazu, (której jednak zamykając nań oczy nie usuniemy), zajmijmy się rozpatrzeniem tej drogi, na której Czesi doszli do takiej poprawy swojej waluty.

Widoma i stała poprawa kursu czeskiej korony zaczęła się już mniej więcej od początków bieżącego roku, tak, że w ciągu  $\frac{1}{2}$  roku z 40 przyszła u nas na 80, a przez następne 3 m. na 380. Szczegóły wszystkich operacji, jakie dla tego celu rząd czeski wdrożył, poczynił i przeprowadził, względnie do tej pory przeprowadza, oczywiście nie mogą nam być znane. Pewne światło jednak na cel, do którego Czesi zmierzają, rzucają rewelacje, jakie o tych pla-

i pocałowała ją, dziewczeczka zaś spojrzała po raz pierwszy na nią tem głębokiem spojrzeniem swych oczu niebieskich, które już odtąd jej nie porzucało. Potem ostrożnie położyła dziecko, pożegnała nas skinieniem głowy i znikła. Janta zcrwała się na nogi. — „Ciesz się, Fillido, zawołała do mnie, córka twa wzrastać będzie pod błogosławieństwem dwóch bogiń! Chciała już wziąć ją na ręce, gdy wtem...

— Gdy wtem?...

— Gdy wtem słowik-ptaszę przerwał swój śpiew i zatrzepotał przerażonemi skrzydełkami; pozostałe z żalonym piskiem rozbiegły się po kątach.

Zgasło światło dzienne i wolno, wolno zaczęła się unosić jedna deska podłogi, za nią druga, z przepaści wybiłyś krawe światło, izba jakby zapłonęła z wewnątrz. I przy blasku tym z tejsze przepaści wypłynęła postać cała w czerni o bladej i surowej twarzy. Nogi podcięty się pode mną, upadłam i nie mogłam dojrzeć, co było dalej, lecz Janta widziała, jak bogini w czerni dotknęła czoła dziewczeczki, jak jej blade wargi poruszyły się, wyrzekła jakieś słowo — lecz słowa nie dosłyszała, gdyż zagłuszył je rozdzierający płacz Eryny. Na płacz jej i ja się zbudziłam, zerwałam się, chwyciłam ją — zjawisko znikło, tylko jakiś cień pozostał na małym czółku i długo nie mogła się uspokoić dziewczeczka. Porzuciłam tyrę i nebrydę i wianek bluszczowy i jako zwykła ko-

bieta wróciłam do domu z mem chorem dzieckiem na rękach. I od tego czasu nie zaznałam spokoju ani dniami ani nocą.

Aglaodor zamyślił się.

— Powiedz mi jeszcze jedno królewno.

Pokazałaś Erynę jej ojcu?

— Naturalnie, przecież, wówczas jeszcze nie wiedziałam...

— Jakże się wobec niej zachował?

— On? bardzo serdecznie; całował ją i हुआ, nazywał swoją wiosną. Ale to wszystko było tylko udane.

— Jesteś pewna tego?

— Czyż może być inaczej? Pieścił ją, a myślał o swej... giermkinie.

Aglaodor z uznaniem skinął głową.

— A ona jak wobec niego?

— Ona? Także nieźle... Nawet się uśmiechnęła do niego. Tak, nawet matka moja się zdziwiła. Wszedł on wprost i przedewszystkiem pochwycił ją: „radości ty moja, cudna moja“, mówił, — „uśmiechnij że się choć raz do mnie“. Myślałam że się rozpacze, gdyż obawia się obcych, lecz ona popatrzyła nań niepewnie swemi niebieskimi oczętami, a potem naprawdę się uśmiechnęła. „To nadzwyczajne“, rzekła wtenczas moja mama, — „wszystkich obcych się obawia, a do niego się uśmiecha“.

— Do czego to dochodzi udawanie — wyce-



nach stosunkowo niedawno przyniosła „Vossische Ztg.“.

Według tych rewelacji, właśnie w początkach r. b. odbył się w Pradze szereg konferencji z udziałem przedstawicieli wielkiego przemysłu, handlu i finansów czeskich, oraz ministra skarbu i samego prez. Masaryka. Konferencje były poufne, celem ich było wysondowanie zapatrywań, oraz ewentualne pozyskanie przemysłowców i finansistów czeskich dla planów walutowych rządu czeskiego.

Plan ten — jak go na konferencji rozwinął prez. Masaryk — polegał na tem, że rząd czeski zamierza, uzyskawszy większą pożyczkę zagraniczną, forsować wszelkimi środkami na decydujących giełdach europejskich wzrost kursu korony czeskiej tak — aby przed 1 stycznia 1923 osiągnęła ona w Zurychu kurs 20 centymów za 1 koronę. Wtedy rząd czeski proklamuje wprowadzenie nowego czeskiego pieniądza, opartego częściowo na złocie, noszącego nazwę „lew“ (analogicznie do istniejących już „lewów“ bułgarskich), którego wartość nominalna wynosić będzie  $\frac{1}{3}$  franka szwajcarskiego. Dalsze losy „lwa“ zależne będą oczywiście od stanu finansów państwowych, ale gospodarstwa w Czechach wogóle, które to gospodarstwo teraz ma się przyczynić do „urodzenia“ owego „lwa“.

Chodziło o to, że czeskie ministerstwo skarbu, tworząc ten plan, zdawało sobie sprawę z tego, jakie przesilenie gospodarcze wywołać musi w Czechach tak znaczna i stosunkowo szybka zwyżka kursu korony, — i czy przemysł czeski, a całe zresztą życie gospodarcze republiki są w stanie takie przesilenie przetrzymać.

Konferencja obradowała długo, zdania nie były jednolite. W końcu jednak podobno prze-

ważyła opinia, że na ten eksperyment można się ważyć — przemysł wielki czeski uległ opinii wielkich finansów i zdecydował się ponieść duże ofiary w terażniejszości dla przewidywanych korzyści w przyszłości...

Jesteśmy świadkami tego, że „wypadki“ finansowo-gospodarcze w Czechach rozwijają się tak, jak przewidywał ten plan i jak go omówiła konferencja. Kurs korony czeskiej, podnoszący się bezustannie, już nie jest tak daleki od owych sakramentalnych „20 centymów“ w Zurychu. Równocześnie i równolegle do tego rozwija się w Czechach przesilenie gospodarcze, o którego ogromie daje pojęcie (pomiędzy innymi szczegóły) fakt, że około 700,000 robotników przemysłowych w Czechach (na niecałe 14 milionów ludności republiki, znajduje się bez pracy. Olbrzymia większość fabryk i zakładów przemysłowych w Czechach stoi beczynnie. Eksport czeski ma drogi zamknięte przez wysoki kurs czeskiej waluty. Wskutek bowiem tego kursu żaden z sąsiadów nie jest w stanie kupować w Czechach, wogóle nikt w Europie. Tylko Anglja i Ameryka na funty i dolary byłby jeszcze w stanie kupować czeskie towary — ale Anglja ma tańsze niemieckie, a Stany Zjednoczone cierpią raczej na nadprodukcję, zaś importu z Europy wogóle nie potrzebują.

Obraz to dla Czechów narazie wcale nie wesoły, ale pocieszają się oni „światłą“ przyszłością. Korona idzie w górę stale. W sposób zupełnie widoczny interesuje się nią zagranica, przede wszystkim rynek paryski, który ją „ciągnie“. Wielkie finanse europejskie, które „poparzyły się“ kolejno na austriackiej koronie i niemieckiej marce, postanowiły teraz spekulować na „półszlachetnej“ walucie czeskiej. W Paryżu podobno korona czeska jest modnym

dził zwolna Aglaodor. A więc, królowno, jesteś przekonana, że on nie kocha tej swojej córki?

— W zupełności przekonana.

— I dobrze robisz. O tobie niema co mówić: oszukał cię i znieważył w sposób niegodziwy. Naturalnie, przestałaś go po tem kochać?

Długo myślała Fillida, badawczo patrząc na proroka, potrzęsała głową, znów popatrzyła na niego, potem jakiś cień przemknął po jej twarzy i odpowiedziała stanowczo.

— Rozumie się.

— Inaczej być nie może: powinnaś pamiętać, żeś jest kobietą i królowną. Pięknie powiedziałaś przedtem, że Dionyzosa za pana wybierasz; słuchaj więc, co Dionyzos przez usta moje tobie rozkazuje. Niech imię Pandiona w twym domu nie będzie ani razu więcej wymówione; niechaj córka twa nie dowie się, kto jest jej ojcem.

Pandion zapomnieć musi o drodze w tę stronę, zapomnieć musi o tej niekochanej córce swojej; niech sobie utrzymuje choćby cały hufiec giermkiń, lecz niema dlań żeglugi do Dziewięciu Dróg. A ty i Eryna odtąd będziecie służyć tylko Dionyzosowi. Ręką moją przyjmuje on was do swego wrót orszaku.

Podał jej rękę. Przypadła do niej i okrywała ją pocałunkami. Chciał natychmiast się z nią pożegnać, lecz ona, upewniwszy się, że dziecko twarodo śpi, wyszła z nim, aby go odprowadzić do ogrodu pałacowego.

W tej samej chwili ptaszęta, które szczebiały i ćwierkały w ogrodzie, wleciały do opustoszałej komnaty i otoczyły kołyskę; za niemi podążyli dwaj szanowni goście, sęp i sowa. Ptaszęsłownik zajęło miejsce na kotarze wprost nad główką dziecka.

— Ślepy ród śmiertelnych — poczęło ptaszę — Wszyscy ją kochają i wszyscy jakby się zmówili przeciwko niej. Aglaodor będzie wielkim prorokiem, lecz jest jeszcze młody i niesłusznie sądzi, że Dionyzos zawsze przez jego usta przemawia. Bóg nieodłączny jest od dobra, a niema w tem nic dobrego, aby odbierać ojcu jego dziecie. A matka niesłusznie spędza swą winę na Alastora: sama powzięła swój szalony zamysł i za własną szła wola, która wyodrębniła się od niej, gdy zazdrość zburzyła jej rozum. Ochroniajmy więc krew Erechteusza, przyjaciele. My tylko kochamy ją, jak się należy. Nie mogą sprawić tego, aby nas zrozumią. Owa trawka była ostatnią. Lecz możemy rozweselać ją naszymi pieśniami oraz igraszkami, możemy ją upieścić, gdy straszny ów cień ukaże się znów na ślicznem czółku: Bądźmy wciąż koło niej, przyjaciele; da Bóg, że swą miłością i pieczęcią zetrzemy pieczęć Persefony.

C. d. n.

Tadeusz Zieliński.

papierem, w którym drobni kapitaliści lokują swe oszczędności i Czesi rozwinęli we Francji wielką propagandę finansową. Czeskiego zaś rządu nie opuszcza nadzieja stanięcia u 20 centymowej mety w Zurychu przed nowym rokiem.

Równolegle rozwija rząd czeski w kraju wielką akcję „sanacyjną”. Pamiętamy niedawną stosunkowo wielką odezwę rządu czeskiego do ogółu obywateli, wzywającą: konsumentów do oszczędności i do wyszukiwania najtańszych źródeł zakupu, producentów do produkowania jaknajtaniej, kupców — do sprzedawania nawet ze stratą. Jednocześnie sam rząd obiecał i częściowo przeprowadził szereg zarządzeń, jak niższa taryf kolejowych i pocztowych, obniżkę stopy procentowej w bankach it.d. nadto obiecał zaprzestać drukowania banknotów.

Od odezwy tej upłynęło niewiele więcej czasu, niż miesiąc, a pewne jej skutki dają się zaobserwować. Wprawdzie przesilenie przemysłowe trwa, ale zmniejszyła się panika, ceny, wprawdzie bardzo powoli, lecz spadają, pieniądź zyskuje na sile kupna. Świadczyłoby to, że rząd czeski i jego zarządzenia mają pewien wpływ na kierunek spraw gospodarczych w kraju.

Czy uda się temu rządowi przeprowadzić swój plan w całości—i do końca,—to inne pytanie, które mniej nas tu narazie interesuje. Myśmy chcieli tylko: po pierwsze, zwrócić uwagę naszego społeczeństwa i naszych sfer miarodajnych na samo istnienie tego planu, o którym—pomimo odczuwania jego skutków przez giełdę warszawską — u nas zdają się nie wiedzieć, przynajmniej prasa nasza go nie zanotowała, nawet pomimo rewelacji dzienników berlińskich; po drugie — zwrócić uwagę, że z tych czeskich planów wynikają i dla nas pewne konsekwencje.

Z planu tego wynika przedewszystkiem, że Czesi wogóle kalkulują jednak na pewne uzdrowienie gospodarczo-finansowe Europy, przynajmniej na powrót „pół-normalnego”, stałości wartościowego pieniądza; w szczególności zaś — że ich ekspansja handlowo-przemysłowa, ich eksport, może tylko *narazie*, ale zrezygnował ze „wschodniej” orientacji i reflektuje raczej na zachodnie rynki. Przy  $\frac{1}{3}$  frankowym bowiem „lwie” długi jeszcze czas nie będą mogły kupować towarów czeskich ani Austria (wogóle nędzny konsument), ani Polska, ani tembardziej Rosja; stracona jest dla Czechów nawet Rumunia, a Jugosławia i Bułgarja, dotychczasowi klienci czeszy „via” Wiedeń, też będą jeszcze musiały uzdrawiać swoją walutę, zanim wrócą do czeskiego producenta, teraz go w znacznej mierze porzuciły. Co do zachodu Europy i dalej—to 20 centymowy „lew” nie stanowi przeszkody, przeciwnie stanowi dla tamtejszych rynków pewną przynętę w postaci bądźco bądź tańszej waluty. O te też zachodnio-europejskie rynki zbytu walczyć będą Czesi po ustabilizowaniu złotem swej „lwiej” waluty, licząc w tem na pomoc zachodnio-europejskich kapitałów, które już się znacznie zaangażowały i coraz więcej się angażują w czeskim przemyśle.

Oprócz „przyjęcia do wiadomości” chwilowej przynajmniej „zachodniej” orientacji gospo-

darczej czeskiej, płynie dla nas stąd jeszcze druga konsekwencja, czysto finansowo-walutowej natury. Oto — jak wiadomo — w planie naszym jest obecnie dążenie do pełnowartościowego złotego pieniądza polskiego, „złotego” wartości *całego franka* szwajcarskiego. Zachodzi pytanie — czy my, którzy teraz jesteśmy za walutą czeską w tyle o 400 prawie punktów, zdołamy w najbliższej przyszłości utrzymać „złoty” swój na kursie 100 — centymów wobec lwa czeskiego 20—centymowego? I czy nie narazimy raczej naszego nominalnie całofrankowego „złotego” na spadek na poziom 20 centymowy, ponosząc przytem olbrzymie straty, które *trzeba* będzie bezwarunkowo pokryć? Takie postawienie pytania nie jest jeszcze oczywiście rozstrzygającą odpowiedzią; ale w każdym razie nad tą kwestją warto się zastanowić.

St. Mróz.

## ZAGADNIENIA POLITYKI POLSKIEJ.

Ukazały się prawie jednocześnie dwie prace wybitnych polityków polskich: *Stanisława Bukowieckiego* „Polityka Polski Niepodległej” i *Aleksandra Lednickiego* „Nasza Polityka Wschodnia”. Poglądy wspomnianych autorów tem większe budzą zainteresowanie, że obaj występują w tej chwili na arenie czynnego życia politycznego: p. Bukowiecki kandyduje do Sejmu w Warszawie z listy Unji Narodowej, p. Lednicki do Sejmu i Senatu w okręgu Białostockim z listy „Polskiego Bloku Pracy”.

Pp. Bukowiecki i Lednicki mają dużo wspólnego nie tylko w niektórych poszczególnych poglądach, ale i w samej metodzie traktowania zagadnień politycznych, w zasadniczem ujęciu problemu polityki polskiej. Światopogląd realistyczny, krytyczny a jednocześnie humanitarny, ściśle traktowanie problemów w szerokiej perspektywie historycznej, śmiałość i niezależność myśli — cechują zarówno autora „Polityki Polski Niepodległej” i autora „Naszej Polityki Wschodniej”. Mając wstręt do fikcyj, figur retorycznych, gotowych formułek, szablonów, któremi tak często karmi się nasza myśl polityczna, wspomniani autorzy szukają rzeczowej odpowiedzi na zagadnienia, jakie stawia nowe życie przed nowem państwem polskiem. P. Bukowiecki słusznie zaznacza, że nasze życie współczesne nic nie ma wspólnego z temi walkami i sporami, w których niedawno jeszcze wszyscy braliśmy udział. „Jak dla człowieka, który wyzdrowiał i wyszedł ze szpitala, jak dla uwolnionego z więzienia to, co przeżył w chorobie, lub w więzieniu jest czemś zamkniętem, od czego nowe jego życie całkowicie się odrywa, tak i dla narodu naszego cała ta przeszłość w niewoli jest przedmiotem bolesnego wspomnienia, pełnej ukochania czi dla bohaterów i męczenników, ale nie jest i być nie powinna realną podstawą naszych w państwie polskiem czynów i dążeń. Jesteśmy już jeżeli nie na innej planecie, to na innej płaszczyźnie działania i myślenia.”

Z tej „nowej płaszczyzny” wychodzą i p.

Bukowiecki i p. Lednicki kreśląc programy polityki polskiej. Oczywiście, że są między nimi i rozbieżności. Największa rozbieżność zdań zachodzi w sprawie, w której poświęca swoją pracę p. Lednicki — w sprawie polityki wschodniej.

P. Bukowiecki, nie uznając, jak już mówiliśmy tradycyjnych formułek, nie uważa za nieomylną i nietykalną formułkę, która dla wielu polityków naszych jest dogmatem wiary — formułki, ujmującej stosunek nasz do Rosji, jak wieczny i nieunikniony antagonizm.

„Czy ten antagonizm jest wiekiustą koniecznością? Zapytuje p. Bukowiecki: Wyrósł on na podłożu współzawodnictwa pomiędzy obu narodami o t. zw. ziemie litewskie wobec zabórczych tendencji Rosji w okresach moskiewskim i petersburskim jej historii. Czy obecny olbrzymi przewrót, któremu ulega cały byt i życie Rosji, nie pociągnie za sobą zasadniczej zmiany w tendencjach rozwojowych państwa rosyjskiego, mianowicie w kierunku poniechania dążeń do rozszerzenia własnej władzy i potęgi na ludy, które tej władzy podlegać nie chcą“.

Nie dając odpowiedzi na to pytanie „ponieważ wchodzi ona w dziedzinę prorocत्व“, p. Bukowiecki zaznacza jednakże, że o ile terytoria i ludy nad Dźwiną i Dnieprem, które stanowią od wieków kość niezgody pomiędzy Polską a Rosją, otrzymają wolność, to fakt taki, pozbawiający obie strony przedmiotu sporu, stać się może sam przez się punktem wyjścia dla zasadniczej odmiany stosunków pomiędzy Polską a Rosją“.

P. Al. Lednicki idzie dalej i uważa za możliwe współżycie pokojowe Polski z Rosją (oczywiście nie bolszewicką), i nawet w przyszłości przymierze polsko-rosyjskie przeciw Niemcom skierowane.

„W Rosji odbył się proces ogromnej historycznej doniosłości, który jednak jest niedoceniony. Żyjemy wciąż przeważnie dawnymi koncepcjami. Wojna na Zachodzie już się skończyła, ale kierujące umysły jeszcze nie są zdemobilizowane. Dlatego nie tylko Polacy ale i Rosjanie operują dawnymi koncepcjami. My oddajemy się złudzeniu, że Rosja już nigdy nie powstanie, a jeżeli powstanie, to musi być i będzie taką, jak Rosja przedwojenna, bezwzględna antagonistką Polski. Rosjanie zaś marzą o zrealizowaniu właśnie tych naszych złudzeń. Tymczasem wystarczy przedstawić sobie dzisiejsze rosyjskie „forum romanum“, te gruzy, które po wielkiem imperjum zostały, by się przekonać, że wyrok historii jest nieubłagany i że via sacra carskiej Rosji, prowadząca na północny zachód, ma zawsze porośniętym mchem zapomnienia.“

Rozwój socjologiczny Europy ujawnia tendencje posuwania się ludów z zachodu na wschód, a nie odwrotnie. Tendencja ta wyraźnie występuje, że pominiemy już parcie fali niemieckiej na wschód, tak dobitnie ujawnione podczas wojny, wśród narodów, wchodzących w skład dawnego imperjum rosyjskiego, a tworzących dziś własne organizmy państwowe. Łotysze posuwają się wzdłuż gubernji: Witebskiej, Pskowskiej, Nowogrodzkiej, a nawet Smoleńskiej.

Białorusini sięgają aż pod Twer i niektóre powiaty gub. Moskiewskiej, Ukraińcy zaś mocno siedli w gub. Saratowskiej nad Wołgą. Proces ten, podsyłany pierwiastkami kultury zachodniej, której przewodnictwem w naszym ręku spoczywa, będzie się niewątpliwie potęgował, w czym leży jedna z gwarancji, że powrót do dawnych stosunków, że powstanie starej, „jedynof i niedielimof“ Rosji jest wykluczone.

Nie znaczy to jednak, że naród rosyjski wymazany jest z karty dziejowej. Naród Puszkina, Dostojewskiego, Mendelejewa, Tołstoja zginąć nie może, jego dźwiganie się z upadku będzie wszakże powolne i drogi jego powstania muszą być inne. Kto zdoła przewidzieć i odgadnąć te drogi, kto zdoła przewidywania te zastosować do własnych celów, ten utrwali stan własnej siły“.

Do ciekawych myśli zawartych w książkach St. Bukowieckiego i Al. Lednickiego jeszcze powrócimy na łamach „Tygodnia“. Tu chcielibyśmy zaznaczyć tylko ich aktualną doniosłość.

## Krzywdy i niesprawiedliwość.

Nie można mnie chyba posądzać o szczególną miłość do „kamieniczników“, t. j. do właścicieli domów. Mieszkając w Krakowie, pod wpływem oburzenia na stałe fałszerstwo, do którego właściciele domów zmuszali ubezwłasnowolnionych lokatorów, czyli na tak zwaną „fałszywą fasję mieszkaniową“, wydałem broszurę „Jeden z objawów moralności oportunistyczno-prawomysłnej“ i wszedłem w konflikt nietylko z kamienicznikami, ale nawet wogóle z oburzającymi się na „ptaka, co własne gniazdo kala“ „patryotami“ galicyjskimi. Za to przestępstwo, polegające na nazwaniu oszustwa oszustwem, wyrzucono mi z c. k. Uniwersytetu Jagiellońskiego i uniemożliwiono pracę profesorską i naukową w Polsce.

A jednak teraz muszę twierdzić, że „kamienicznikom“ dzieje się krzywda i niesprawiedliwość, o ile oczywiście nie znajdują oni sposobów obejścia prawa i wyzyskania pomyslnego dla nich zbiegu okoliczności.

Przecież komorne, określone przez prawo przed paru laty, kiedy marka była kilkadziesiąt razy więcej warta, niż obecnie, jest krzyżącą niesprawiedliwością. Tak np. właściciel domu, w którym mieszkam, dostaje od lokatorów, według „prawa“, miesięcznie coś około dziewięciu tysięcy marek. A żeby kupić sobie butelkę spirytusu, musi pobrać komorne kwartalne z mieszkania sześciopokojowego; a i to mu jeszcze nie wystarczy. Również nie wystarczy mu to komorne kwartalne na kupienie np. funta faworków.

Do wynagrodzeń urzędowych, do pensji i innych poborów, do opłat za robociznę i t. p. zastosowano rozmaite mnożniki, podwyższenia automatyczne i t. d... A cóż dopiero w handlu. Śdzie ceny przedmiotów sprzedawanych rosną jak na drożdżach i przewyższają ceny z przed paru lat kilkadziesiąt, a może nawet więcej niż sto razy!

Tylko komorne było jeden jedyny raz mniej więcej podwojone i od tego czasu zastygło. Nałożono wprawdzie na lokatorów obowiązek opłacania „stróżów“ i rozmaitych „świadczeń“, które kilka razy przewyższają zasadnicze komorne i które może niezawsze są obliczane sumiennie przez właściciela. Ale przy tem wszystkim dochód z domu pozostaje krzywdząco i niesprawiedliwie niskim.

Uznając to, wielu lokatorów zgodziło się na pokątne, nieprawne pomnożenie komornego, płacąc niekiedy 10 a nawet kilkanaście razy więcej, aniżeli opiewa norma urzędowa. Ale jest to przecież naruszenie „prawa“, które to naruszenie, gdyby doszło do wiadomości władz, mogłoby być surowo karane. To też zwykłe kwity urzędowe wydaje się tylko na komorne zasadnicze, ustawą określone, na resztę zaś otrzymuje się kwity, jako na pożyczkę lub też sumę wpłaconą na rachunek przyszłej należności.

Są to stosunki niezdrowe i demoralizujące. Zarówno poczucie sprawiedliwości, jako też wymagania współzycia społecznego mówią wyraźnie, że trzeba to zmienić, że właścicielom domów należy się znaczne podwyższenie komornego.

Oczywiście o dowolnych umowach, o przejściu do dawnego systemu terroryzowania lokatorów przez kamieniczników mowy być nie może. Trzeba się liczyć z chciwością ludzką, z żądzą odwetu i korzystania z wolności wymuszenia takich cen, jakie się tylko zamarzy rozwyrzonemu kamienicznikowi. Jestto przecież swojego rodzaju „walka klas“, gdzie panuje bezlitosna bezwzględność i brak wszelkiej wyrozumiałości dla przeciwnika społecznego, oddanego na pastwę wyzyskiwacza.

A więc, zgodnie z wytworzonymi przez życie warunkami, ceny mieszkań powinny być określone nie przez jedną ze stron zainteresowanych, ale przez ustawę, a w wypadkach spornych przez komisje mieszane, dające rękojmię bezstronności i słuszności obiektywnej.

Panowie właściciele domów nie powinni zapominać o krzyczących krzywdach, wyrządzonych w nowopowstałym państwie polskim właścicielom wierzycielności hipotecznych, kiedy to postanowiono określać wartość rubla przedwojennego, a więc rubla złotego, na 2 marki polskie i 16 fenigów.

W Poznańskim i wogóle w byłym za- borze pruskim umowy hipoteczne zawierano w markach niemieckich. Kiedy teraz wierzyciele hipoteczni domagają się wypłaty ich należności w markach niemieckich, powiada im się, że dostaną taką samą ilość marek polskich ponieważ jeden z dawniejszych ministrów skarbu polskiego zdecydował, że marka polska jest równa niemieckiej, a przecież pan minister jest nieomylny.

Jestto doskonały sposób wytwarzania mal-kontentów, nierównie skuteczniejszy od wszelkiej propagandy „bolszewickiej“ i komunistycznej.

J. Baudouin de Courtenay.

## W SPRAWIE DYMISJI DYREKTORA JANA LORENTOWICZA.

Związek dyrektorów teatrów polskich na zjeździe, odbytym w dn. 29 października 1922 r. w Warszawie, z powodu zgłoszonej przez dyr. Jana Lorentowicza rezygnacji ze stanowiska prezesa Związku dyrektorów teatrów polskich uchwała:

1) Rezygnacji tej nie przyjąć, uważając, że ustąpienie p. Jana Lorentowicza ze stanowiska generalnego dyrektora teatrów miejskich nie może w niczem umniejszyć zaufania Związku do swego prezesa, wybranego na kadencję 1922/23;

2) Związek dyrektorów teatrów polskich stwierdza, że sposób, w jaki Magistrat m. st. Warszawy wywołał rezygnację p. Jana Lorentowicza ze stanowiska generalnego dyrektora teatrów miejskich, nie odpowiada powadze stanowiska dyrektora teatru, ani godności instytucji, ani wreszcie przyjętym zwyczajom;

3) Z punktu widzenia zasadniczego Z. D. T. P. oświadcza się jaknajkategoryczniej przeciwko wywoływaniu niedostatecznie umotywowanych przesileni teatralnych w ciągu sezonu, a to ze względu na fatalne skutki zarówno artystyczne, jak i gospodarcze, jakie pociągnąć muszą za sobą nagłe zmiany na stanowiskach kierowników teatrów. Warszawa 29 października 1922 r. Następują podpisy: Henryk Barwiński, Ludwik Czarnowski, Franciszek Frączkowski, Bolesław Gorczyński, Józef Grodnicki, Józef Karbowski, Emil Młynarski, Stanisław Poleński, Ludwik Solski, Piotr Stermich-Valcrociata, Bolesław Szczurkiewicz, Arnold Szyfmann, Michał Tarasiewicz, Teofil Trzcński, Czesław Zaremba, Roman Żelazowski.

## TYDZIEN POLSKI wychodzi w sobotę.

Prenumerata „Tygodnia Polskiego“ wynosi **kwartalnie 2000 mk., miesięcznie 800 mk. za granicą podwójnie.** Cena pojedynczego numeru **200 mk.**

Conto czekowe P. K. O. Nr. 1750.

Cena ogłoszeń: cała strona 100.000 mk. 1/2 str.: 50.000 mk. 1/4 str. 25000 mk.

ADRES REDAKCJI i ADMINISTRACJI: WARSZAWA, ORDYNACKA 5 m. 4.

Redakcja otwarta od 5—7 wiecz.: w poniedziałki, środy i piątki; administracja od 9—2 pp. codziennie — telefon 286-17.

Zastępstwo na Kraków i Małopolskę: „Ruch“, Kraków, ul. Szczepańska 9.

Wydawca: TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „ZJEDNOCZENIE“ Redaktor: Leon Kozłowski.

Druk. succ. T. Jankowskiego, Warszawa ul. Wspólna № 54, tel. 266-07.